Indie: moc przerobowa, hałas budowy i granice modernizacji

AUTOR

Fundacja Dobre Państwo

STRESZCZENIE / ABSTRACT

Artykuł stanowi głęboką analizę współczesnych Indii, postrzeganych przez pryzmat 'hałasu budowy' jako ontologicznego wskaźnika transformacji. Autor bada strukturalną moc przerobową państwa, wskazując na bariery instytucjonalne, logistyczne i prawne, które ograniczają pełne wykorzystanie dywidendy demograficznej. Tekst demaskuje mechanizmy kapitalizmu kolesiowskiego oraz wpływ kultury 'jugaad' na innowacyjność, stawiając pytania o granice indyjskiej modernizacji. W kontekście globalnej strategii China+1, publikacja ocenia efektywność reform rynkowych i nowych kodeksów pracy, analizując koszty logistyki oraz zatory systemowe. To kluczowa lektura dla zrozumienia, czy indyjski hałas transformacyjny jest zwiastunem trwałego sukcesu gospodarczego, czy jedynie symptomem niewydolności systemu.

This article provides an in-depth analysis of contemporary India, viewed through the lens of "construction noise" as an ontological indicator of transformation. The author examines the state's structural capacity, pointing to institutional, logistical, and legal barriers that limit the full utilization of the demographic dividend. The text exposes the mechanisms of crony capitalism and the influence of "jugaad" culture on innovation, raising questions about the limits of Indian modernization. In the context of the global China+1 strategy, the publication assesses the effectiveness of market reforms and new labor codes, analyzing logistics costs and systemic bottlenecks. This is crucial reading for understanding whether India's transformation noise is a harbinger of lasting economic success or merely a symptom of systemic failure.

Artykuł analizuje paradoks indyjskiego wzrostu gospodarczego, który pomimo imponujących statystyk, boryka się z chronicznym niedoborem "mocy przerobowych" państwa. Autor argumentuje, że ten deficyt, objawiający się zatorami infrastrukturalnymi, biurokracją i korupcją, ogranicza zdolność Indii do pełnego

wykorzystania swojego potencjału demograficznego i gospodarczego. Zamiast dynamicznego rozwoju, kraj ryzykuje utrwalenie systemu "jugaad" – prowizorycznych rozwiązań i kapitalizmu kolesiowskiego, gdzie sukces zależy od układów, a nie innowacji. Kluczowa teza dotyczy konieczności reform instytucjonalnych, które zwiększą przepustowość państwa i umożliwią sprawiedliwy wzrost. Artykuł demaskuje również fetyszyzację "hałasu budowy" jako symbolu postępu, wskazując, że może on być również sygnałem kompensowania fundamentalnych braków, a nie autentycznego rozwoju. Autor wzywa do odwagi proceduralnej – rezygnacji z arbitralnej opieki państwa i stworzenia równych szans dla wszystkich.

SŁOWA KLUCZOWE

moc przerobowa | hałas budowy | zator systemowy | kultura jugaad | kapitalizm kolesiowski | dywidenda demograficzna | China+1 | arbitraż administracyjny | reforma ukradkiem | koszty logistyki | przepustowość instytucjonalna | renta polityczna | reformy 1991 | kodeksy pracy | modernizacja

Hałas: ontologiczny dowód trwającej modernizacji

Istnieje pewien rodzaj dowodu, którego ekonomia głównego nurtu unika, ponieważ nie daje się go łatwo sprowadzić do tabeli. A jednak w praktyce decyzyjnej – tej, w której kapitał wybiera jurysdykcję, a ludność – miasto – bywa on bardziej rozstrzygający niż kolejny punkt procentowy wzrostu. Tym dowodem jest hałas. Nie hałas jako zjawisko fizyczne, lecz hałas jako wskaźnik ontologiczny: symptom, że w systemie społecznym zachodzi proces faktycznego ruchu, który jest zarazem konstrukcją i destrukcją, nie zaś martwą prezentacją transformacji.

W książce Sharmy, której tezy tu rozwijam, zgiełk Indii nie jest „dźwiękiem katastrofy", lecz „hałasem budowy" i „hałasem naprawy". To muzyka tworzenia, która – w przeciwieństwie do kojących melodii zachodniego „ukończenia" – bywa brutalna: przenika sen, narusza komfort i unieważnia złudzenie, że rozwój jest usługą świadczoną w ciszy, gdzieś w tle. Ta intuicja, na pozór publicystyczna, ma w rzeczywistości solidną strukturę teoretyczną. Co ważniejsze, testuje ona zdolność naszej refleksji do uchwycenia warunków modernizacji w świecie, w którym wzrost stał się jednocześnie obietnicą i zagrożeniem, a państwo jest równie często producentem dóbr publicznych, co wytwórcą systemowych zatorów.

Moc przerobowa: instytucjonalna zdolność do działania

Nie chodzi tu jednak o hołd dla samej metafory. Uznaję jej analityczną siłę, o ile pozwala zrekonstruować spójny system tez na temat mocy przerobowej państwa. Rozumiem ją jako łączną przepustowość materialnej infrastruktury, instytucji prawnych, aparatu administracji, kapitału ludzkiego i kanałów koordynacji, które umożliwiają wzajemne zrozumienie. Moc przerobowa nie jest w tym sensie pojęciem technicznym; to kategoria graniczna, zawieszona między ekonomią a teorią instytucji. Określa ona zdolność całego systemu do absorpcji impulsów: demograficznych, inwestycyjnych, migracyjnych czy technologicznych, a także impulsów konfliktu. Gdy ta moc okazuje się niewystarczająca, społeczeństwo nie tyle „rośnie wolniej", ile wpada w stan chronicznego zatoru. W takim systemie energia zamienia się w tarcie, aspiracja we frustrację, a rynek w politykę.

Z tej perspektywy hałas budowy, który autor źródła przedstawia jako znak życia, staje się niepokojąco dwuznaczny. Może być dowodem, że system nie skapitulował i wciąż walczy, ale równie dobrze może być sygnałem ostrzegawczym, że próbuje on kompensować fundamentalne braki przepustowości niekończącym się remontem prowizorki. Właśnie w tej ambiwalencji tkwi intelektualna wartość całego stanowiska, zmusza nas ono bowiem do porzucenia komfortowego dualizmu, w którym kraj jest albo „sukcesem", albo „porażką". Indie jawią się tu jako społeczeństwo w stanie szerokiego przebudzenia, które jednocześnie dźwiga w swojej strukturze grzechy przeszłości, niedokończone reformy, klątwę „jugaad" oraz kapitalizm kolesiowski. Taki konglomerat sprzeczności to twardy orzech do zgryzienia dla analityka, ponieważ wymyka się zarówno łatwej apoteozie, jak i prostej pogardzie.

Kapitał globalny wymusza płynność infrastruktury

Zacznijmy od rygorystycznego uporządkowania pojęć, bo w materialnym rdzeniu tej diagnozy leży konkret. Jest nim teza o „chronicznym deficycie mocy przerobowych", który niczym miażdżyca zatyka arterie państwa: od logistyki i transportu, przez porty i sądy, aż po regulatorów, szkolnictwo i zdolność do egzekwowania umów bez urzędniczej samowoli. W tej kwestii współczesna recepcja – naukowa i biznesowa – jest zaskakująco zgodna, ku rozczarowaniu ideologów obu skrajności. Globalny biznes potrafi bowiem tolerować podatki, o ile w zamian otrzymuje przewidywalność; potrafi też znieść regulacje, jeśli gwarantują one egzekwowalność. Jest jednak absolutnie nietolerancyjny wobec zatorów. Mówiąc wprost: kapitał jest gotów zapłacić za państwo, ale nie zamierza płacić za korek, który jest dowodem na istnienie niepaństwa.

W ostatnich latach widać zresztą, że w Indiach toczy się zażarta walka o samą definicję tego „zatkania". Jeszcze niedawno w obiegu krążyły mityczne liczby o kosztach logistyki sięgających kilkunastu procent PKB, powtarzane często bez solidnej metodologii. Przełom przyniosły nowsze szacunki, oparte na solidnych danych, wedle których koszty te w roku fiskalnym 2023–2024 wyniosły około 7,97% PKB. Ta korekta jest pouczająca z dwóch powodów. Po pierwsze, pokazuje, że państwo i rynek uczą się wreszcie mierzyć własne wąskie gardła, co jest warunkiem każdej sensownej reformy. Po drugie, demaskuje samą debatę jako pole konfliktu interesów: zawyżone liczby wspierają retorykę „katastrofy" i usprawiedliwiają dowolną terapię szokową; zaniżone zaś podsycają triumfalizm i dają alibi dla zaniechania. Biznes, jak zwykle, nie domaga się optymizmu. Domaga się wiarygodności.

Kulturowy lęk przed marnotrawstwem nadmiarowych mocy

W tym kontekście jeden z najostrzejszych bon motów źródła uderza z całą mocą: skłonność do budowania „niedostatecznych mocy przerobowych" ma być w Indiach równie trwała jak miłość do krykieta. To zdanie jest nieprzyzwoicie celne, ponieważ sięga głębiej niż technika projektowania – dotyka samej kultury normatywnej. Ujawnia przekonanie, iż budowanie z zapasem to niemoralny luksus, grzeszny komfort, który trzeba zdusić, zanim w ogóle zostanie wzniesiony. W świecie nowoczesnym taka postawa nie jest jednak cnotą skromności, lecz receptą na chroniczne zatkanie. A korek, jeśli potraktować go poważnie, staje się bezlitosnym mechanizmem selekcji, który transferuje rentę do tych, którzy potrafią zarządzać niedoborem. Nie premiuje najlepszych, lecz najlepiej ustawionych.

Pakt z diabłem: ryzykowne partnerstwo z wykonawcami

W tym miejscu dotykamy styku prawa i finansów publicznych. Kiedy państwu brakuje mocy przerobowych, urzędnicza machina zaczyna się zacinać, co otwiera pole dla arbitrażu administracyjnego. Wraz z nim rośnie przestrzeń dla uznaniowości, celowych opóźnień, drobnych „przysług" i transakcyjnego załatwiania spraw. Innymi słowy, dla kapitalizmu kolesiowskiego, który staje się nie patologią, lecz naturalną konsekwencją systemowej niewydolności.

Genezę tego układu trafnie opisano jako „pakt z diabłem". Państwo, niezdolne do samodzielnego budowania infrastruktury, zaczęło korumpować prywatnych wykonawców. Walutą w tej grze stał się uprzywilejowany dostęp do tanich zasobów: koncesji, ziemi, kontraktów czy częstotliwości

radiowych. W ten sposób stworzono ekosystem, w którym prawdziwa przedsiębiorczość ustępuje miejsca sztuce „zarządzania rządem". To przesunięcie jest absolutnie kluczowe. Nie chodzi bowiem o to, że rynek jest zły, lecz o to, że rynek w warunkach instytucjonalnej niewydolności przestaje być rynkiem, a staje się areną do pozyskiwania renty – czyli wyciskania zysków z politycznych układów, a nie z innowacji.

Paradoksalnie, recepcja tej tezy jest znacznie bardziej brutalna w świecie biznesu niż w środowisku akademickim. Uniwersytety mają skłonność do łagodzenia sądów w imię zachowania interpretacyjnej symetrii, biznes jednak nie ma na to czasu – symetria nie skraca bowiem łańcuchów dostaw. Z perspektywy globalnych korporacji, realizujących strategię „China+1", czyli poszukiwania produkcyjnej alternatywy dla Chin, Indie jawią się jako kraina wielkiej obietnicy i równie wielkiego ryzyka. Wąskie gardła w infrastrukturze, nieprzewidywalne egzekwowanie prawa, lokalne monopole czy zatory w sądach to chleb powszedni. Jeśli ktoś chce zrozumieć, jak gwałtownie entuzjazm potrafi zamienić się w rozczarowanie, niech odstawi polityczne manifesty. Wystarczy, że przeczyta dowolny raport ryzyka operacyjnego.

Reformy 1991: modernizacja przeprowadzona półsercem

Sharma porządkuje tę aporię poprzez pojęcie „grzechów przeszłości", które nie jest – co trzeba podkreślić – ani nostalgicznym westchnieniem za lepszymi elitami, ani prostacką moralistyką o „złym etatyzmie". „Grzech" jest tu kategorią strukturalną: wskazuje na decyzje i zaniechania, które wytworzyły trwałą asymetrię pomiędzy powierzchowną liberalizacją a nieliberalnym rdzeniem. Autor wskazuje na reformy z 1991 roku jako na działania połowiczne, ponieważ uwolniono rynki produktów, lecz pozostawiono pod kontrolą państwa i jego pośredników rynki czynników produkcji: ziemi i pracy. W rezultacie powstał system, który potrafi generować transakcje, ale nie potrafi budować skali; potrafi generować punktowy wzrost, ale nie jest w stanie stworzyć masowego zatrudnienia o jakości, która tworzy bazę podatkową, stabilizuje społeczeństwo i pozwala inwestować w moce przerobowe.

Kodeksy pracy 2025: ryzyko destabilizacji rynku

Do dyskusji naukowej i biznesowej należy w tym miejscu dorzucić element palącej aktualności. Władze Indii pod koniec 2025 roku oficjalnie zakomunikowały wdrożenie czterech kodeksów pracy, które konsolidują aż dwadzieścia dziewięć dotychczasowych ustaw, z datą wejścia w życie

wyznaczoną na 21 listopada. Wydarzenie to jest dla naszej analizy fascynujące nie dlatego, że cokolwiek „rozwiązuje", lecz dlatego, że odsłania nowy etap myślenia w kręgach władzy i biznesu. To, co w książce Sharmy było postulatem „dokończenia reform", staje się teraz – przynajmniej w legislacyjnej intencji – próbą zbudowania spójniejszej architektury rynku pracy. Jednocześnie prawnicy i doradcy pracodawców studzą entuzjazm, podkreślając, że realne skutki zależeć będą od regulacji stanowych, praktyki egzekwowania prawa oraz niepewności, jaką z definicji rodzi okres przejściowy.

Na tym tle uderzmy w pierwszy, najbardziej konformistyczny odruch interpretacyjny, tak częsty w biznesowej publicystyce spod znaku „pro-Indie": jest reforma, więc problem znika. To błąd kategorialny. Prawo nie jest magicznym zaklęciem, które działa przez sam fakt istnienia. Jego siła sprawcza zależy od realnej mocy przerobowej państwa – od istnienia całej proceduralnej infrastruktury, która pozwala normy uzasadniać i egzekwować. Kodeksy pracy mogą być na papierze ultranowoczesne, a w praktyce kompletnie niewydolne, jeśli aparat kontrolny, sądy pracy i mechanizmy rozwiązywania sporów pozostaną w stanie chronicznego zatoru. Wówczas „reforma" staje się jedynie kolejnym narzędziem selektywnej uznaniowości, czyli – mówiąc językiem analizowanego źródła – kolejną areną, na której rośnie wartość „bliskości do ucha urzędnika".

Tu właśnie docieramy do sedna krytyki „reformowania ukradkiem". Autor źródłowy nie potępia dyskrecji jako takiej, lecz jej polityczno-kulturowy mechanizm, który uniemożliwia przepracowanie zmiany w świadomości zbiorowej. Reformy przeprowadzane tak, jakby nie były reformami, nie budują społecznej legitymizacji. A bez niej rodzą kompensacyjny lęk elit, które w imię świętego spokoju zaczynają zmiany rozwadniać, wyłączać i odsuwać w czasie. Powstaje wtedy nie tylko luka instytucjonalna, ale i poznawcza: społeczeństwo nie wie, w jakim systemie żyje, więc instynktownie broni starych zabezpieczeń, nawet jeśli w praktyce produkują one jedynie nędzę aspiracji.

Najostrzejszy dowód tej patologii przybiera formę polityczno-budżetowej anegdoty o reformie dotacji, gdzie próba racjonalizacji kończy się kapitulacją w imię strachu przed bólem. Taki epizod działa na elity jak szczepionka przeciw odwadze: uczą się, że dobra ekonomia to zła polityka, a skoro tak, to trzeba udawać. Kiedy zaś udawanie staje się metodą rządzenia, gospodarka przestaje być przestrzenią jawnego sporu o cele. Zmienia się w targowisko transakcyjnego zarządzania konfliktami, gdzie najwyższą kompetencją nie jest tworzenie wartości, lecz mistrzowskie unikanie odpowiedzialności.

Jugaad: prowizorka blokująca systemową innowacyjność

Pora zająć się terminem „jugaad", często fetyszyzowanym jako barwny folklor przedsiębiorczości. W istocie bowiem jugaad to nic innego jak mechanizm równowagi niskiej jakości: improwizacja, zrodzona z niedostatku i absurdalnych regulacji, najpierw zostaje nobilitowana jako cnota, by wkrótce stać się obowiązującą normą. W takim systemie nie tylko jednostki „radzą sobie" z państwem – całe sektory gospodarki odkrywają, że przetrwanie i zysk nie zależą od jakości produktu, lecz od sprawności w omijaniu reguł. Skoro państwo nie ma siły, by egzekwować standardy, te stają się negocjowalne. A to, co negocjowalne, szybko zamienia się w koszt, który ponoszą wyłącznie naiwni. I tak oto jugaad z taktyki przetrwania przeistacza się w całą kulturę gospodarczą, w której przewaga konkurencyjna jest nie tylko moralnie podejrzana, ale przede wszystkim – ekonomicznie jałowa.

IT i farmacja: sukces oparty na niskich kosztach

Wkraczamy tutaj na drażliwy grunt innowacji. Sharma stawia bowiem brutalnie szczerą tezę: sukces dwóch flagowych sektorów, IT i farmacji, to w dużej mierze triumf modelu niskokosztowego, a nie dowód na zdolność do tworzenia przełomowych produktów. To herezja, gdyż narusza samą legendę o „geniuszu indyjskiej przedsiębiorczości". W nauce podobne spory od lat toczą się wokół subtelnych rozróżnień między innowacją procesową, imitacją a innowacją produktową. W biznesie natomiast spór wygląda znacznie prościej: liczy się to, czy kraj jest zdolny do wykreowania firm, które nie tylko świadczą usługi, ale budują globalne marki i platformy technologiczne, dyktujące warunki gry. Wszystko inne jest tylko przypisem do cudzej historii.

W tym miejscu należy jednak podjąć wnikliwą polemikę, bez taryfy ulgowej. Autor źródłowy, atakując „jugaad", czyli kulturę prowizorki, ryzykuje intelektualnie kuszące uproszczenie: tezę, że istnieje prosta droga od prowizorki do innowacji, a wystarczy jedynie „wymusić konkurencję" i „chronić własność intelektualną". Otóż nie. Konkurencja jest niezbędna, lecz sama nie wystarczy, jeśli gospodarka przypomina potężny silnik wstawiony do podwozia z dykty. Innowacja nie jest bowiem samotnym aktem przedsiębiorcy; stanowi wynik ekosystemu, w którym ryzyko ma sens, ponieważ istnieje przewidywalność reguł gry, a porażka nie oznacza śmierci cywilnej. W świecie chronicznych zatorów, gdzie każda decyzja zależy od kaprysu urzędnika, ryzyko nie jest „kreatywne". Ryzyko staje się ruletką uznaniowości. Wówczas racjonalny przedsiębiorca nie inwestuje w laboratorium, lecz w relacje.

Demografia Indii: dywidenda pod presją bezrobocia

Wykazałem, że „reforma” bez realnej przepustowości instytucji jest tylko nową dekoracją na starej fasadzie uznaniowości. Teraz trzeba powiedzieć coś jeszcze mniej wygodnego: demografia nie pyta, czy dekoracja jest estetyczna. Demografia pyta wyłącznie o to, czy istnieją kanały odpływu dla narastającego ciśnienia aspiracji. W książce Sharmy ta myśl powraca z uporem godnym lepszej sprawy: coroczny napływ młodych na rynek pracy ma skalę, która w systemie o niskiej mocy przerobowej nie jest problemem sektora zatrudnienia, lecz problemem całego ustroju. A ponieważ globalne środowiska naukowe i biznesowe – zwłaszcza te żyjące w rytmie strategii „Chiny+1” – próbują zrozumieć, czy Indie są „nową fabryką świata”, czy raczej „nową fabryką oczekiwań”, demografia staje się kategorią rozstrzygającą. Odsłania bowiem granice polityki symbolicznej.

Współczesny stan wiedzy jest w tej kwestii zgodny z intuicją źródła: Indie mają strukturę wieku sprzyjającą wzrostowi, lecz potencjał ten jest warunkowy, nieautomatyczny. W ekonomii rozwoju dywidenda demograficzna nie jest darem z niebios, lecz misterną konstrukcją. Wynika ona z relacji między spadkiem obciążenia demograficznego a zdolnością gospodarki do tworzenia produktywnych miejsc pracy, co z kolei zależy od jakości instytucji, edukacji, zdrowia publicznego i sprawności rządzenia. Globalny biznes mówi to językiem bardziej brutalnym: przewaga demograficzna jest realna tylko wtedy, gdy nie zamienia się w premię dla populizmu i w ryzyko niepokojów społecznych. Nie chodzi więc o to, czy „młodzi są”, lecz o to, czy mają gdzie wejść. A jeszcze precyzyjniej: czy mogą wejść w system, który wytwarza kompetencje, a nie tylko dystrybuuje przetrwanie.

I tu Sharma wykonuje ruch, który trzeba obronić przed jego własnymi admiratorami. Autor nie poprzestaje na lamentach nad bezrobociem; on wiąże demografię z konstrukcją instytucji oraz z moralną ekonomią godności. Gdy pisze o fali młodych, nie mówi o statystyce, lecz o konflikcie pomiędzy roszczeniem do uznania a realnym mechanizmem alokacji szans. W społeczeństwie, gdzie człowiek wciąż jest w dużej mierze przypisem do tradycji, rodziny i kasty, praca staje się nie tylko źródłem dochodu. Jest źródłem statusu, autonomii i społecznej tożsamości. Jeśli więc młody człowiek nie znajduje zatrudnienia, nie traci jedynie pieniędzy – traci swoje miejsce w porządku symbolicznym. Ekonomia, która udaje, że to zaledwie „cykl koniunkturalny”, popełnia błąd urzeczowienia.

Praca kobiet: srebrna kula indyjskiej transformacji

W tym momencie na scenę wkracza „srebrna kula", czyli rozwiązanie, którego recepcja we współczesnym dyskursie jest równie entuzjastyczna, co podejrzliwa. Sharma stawia tezę, że masowe włączenie kobiet do zasobów siły roboczej to największy pojedynczy impuls wzrostowy, jaki Indie mogą sobie zafundować. Bez tego włączenia nie ma mowy o hiperwzroście zdolnym wchłonąć demograficzną falę. Teza ta brzmi dziś w świecie biznesu jak banał, bowiem niezliczone raporty konsultingowe i strategie ESG od lat powtarzają, że partycypacja kobiet podnosi PKB. Błąd polega na tym, że powtarzanie tego jak mantry skutecznie rozpuszcza sens postulatu w marketingowej retoryce. „Srebrna kula" nie jest bowiem hasłem o budowaniu wizerunku korporacji, lecz projektem głębokiego przeobrażenia struktury społecznej i rynku pracy, co wymaga infrastruktury opieki, bezpieczeństwa transportu, formalizacji zatrudnienia, realnej ochrony prawnej oraz – co nie mniej ważne – przełamania normatywnego przyzwolenia na traktowanie kobiecej aktywności jako zakłócenia naturalnego porządku.

Współczesne dane i komentarze dotyczące partycypacji kobiet w Indiach dobrze obrazują to napięcie. Z jednej strony oficjalne analizy oparte na badaniach rynku pracy (PLFS) wskazują na istotny wzrost wskaźnika uczestnictwa kobiet w ostatnich latach, co bywa przedstawiane jako sygnał zmiany strukturalnej. Z drugiej strony coraz głośniej podnosi się, że wzrost ten dotyczy głównie samozatrudnienia, często na wsi, i bywa „wymuszony" spadkiem dochodów gospodarstwa domowego. Nie zawsze więc przekłada się na wzrost produktywności, stabilności i autonomii w stopniu, jaki sugeruje triumfalna narracja. Ten spór jest kluczowy, ponieważ odsłania, że „srebrna kula" nie działa jak zaklęcie. Sama obecność kobiet w statystykach nie jest jeszcze ani emancypacją, ani wzrostem jakościowym; jest dopiero sygnałem potencjalnej zmiany, która może pójść w dwóch skrajnych kierunkach: stać się mechanizmem awansu albo mechanizmem rozproszonego przetrwania, które zwiększa podaż pracy, nie zwiększając jej godności.

Tu trzeba bezceremonialnie uderzyć w konformizm biznesowy, który polubił „kobiety na rynku pracy" jako prostą dźwignię wzrostu, bo brzmi to technokratycznie i zwalnia z rozmowy o władzy społecznej. To jest właśnie punkt, w którym rolą ekonomisty i prawnika jest powiedzieć wprost: jeśli nie ma formalizacji i egzekucji prawa, wzrost partycypacji może stać się wzrostem prekaryzacji. Wówczas „srebrna kula" trafia w nogę, a nie w tarczę. Prawo pracy, prawo antydyskryminacyjne czy dostęp do sądu nie są dodatkiem do rynku, lecz warunkiem, aby rynek nie stał się systemem selekcji przez bezbronność. O ile postulat autora źródłowego o „śmierci państwa mai-baap" ma wymiar emancypacyjny – obywatel ma przestać być petentem – o tyle myli on środek z celem. Obywatel nie przestanie być petentem tylko dlatego, że państwo się wycofa; przestanie nim być dopiero wtedy, gdy państwo zacznie działać bezosobowo, proceduralnie i równo dla wszystkich.

Wycofanie się państwa w warunkach głębokich nierówności nie jest liberalizmem. Jest prywatyzacją arbitralności.

Urbanizacja: technologia rozbijająca system kastowy

I tu dochodzimy do urbanizacji jako „tygla solidarności", który w analizowanym materiale zyskuje rangę narzędzia do demontażu kast i uwalniania produktywności. Autor podsuwa myśl, która w Polsce – kraju własnych fantazmatów na temat prowincji – powinna zadziałać jak lodowaty prysznic: wieś to nie sielankowe sanktuarium moralności, lecz nierzadko fabryka zależności i cmentarzysko aspiracji. Miasto natomiast jest technologią społeczną. Nie dlatego, że „ładniej wygląda", ale dlatego, że miesza role, skraca dystanse, wymusza współzależność i tworzy gęsty rynek pracy, pozwalając jednostce zrzucić gorset społecznego przypisania. To właśnie miasto, o ile projektuje się je jako infrastrukturę produkcji i mobilności, a nie enklawę dla elit, staje się maszyną do tworzenia nowoczesnej persony.

Tu właśnie dotykamy sedna problemu kastowości, który w książce Sharmy nie jest potępieniem tradycji, lecz diagnozą fundamentalnego tarcia. System kastowy działa jak precyzyjny mechanizm hamowania mobilności, a przy tym generuje pogardę dla pracy fizycznej. Tymczasem praca rąk w gospodarce, która musi tworzyć miliony miejsc pracy rocznie, nie jest wstydliwym epizodem, lecz warunkiem osiągnięcia skali. Jeśli społeczeństwo gardzi pracą fizyczną, rodzi się paradoks: pragnie ono bogactwa, unikając wytwarzania. Wówczas gospodarka dryfuje w stronę usług o niskiej produktywności, outsourcingu, drobnego handlu i renty administracyjnej, zamiast budować przemysł i logistykę. Urbanizacja w tej perspektywie jest nie tyle migracją, ile transformacją antropologiczną: człowiek w mieście staje się w mniejszym stopniu kastą, a w większym rolą.

Nie ma jednak powodu, by malować tu miejską idyllę. Miasto może być tyglem solidarności, ale równie dobrze tyglem segregacji. Jeśli planowanie przestrzenne ma feudalny charakter, jeśli wskaźniki gęstości zabudowy służą ochronie przywilejów, jeśli transport publiczny jest systemową prowizorką, a rynek mieszkaniowy pozostaje fortecą dla wąskiej klasy – wówczas miasto nie miesza społeczeństwa. Ono konserwuje hierarchie w nowej, betonowej formie. Sharma, przywołując absurdy w rodzaju „bogatych mieszkańców miast zajmujących się rolnictwem", uderza właśnie w ten mechanizm: w alokację przestrzeni jako ukrytą konstytucję nierówności. Globalny biznes, mówiąc dziś o Indiach jako przyszłym centrum produkcji, nie czyni tego w próżni. Mówi o zdolności do masowej urbanizacji i budowy mieszkań na niespotykaną dotąd skalę.

Deficyty proceduralne rodzą kapitalizm kolesiowski

W tym sensie jugaad jest nie tylko stylem działania mikroprzedsiębiorcy, lecz także fundamentem tego, co autor źródła nazywa „kapitalizmem kolesiowskim". Nie jest on przy tym moralną aberracją kilku „złych oligarchów", lecz endogenną strukturą, która wyrasta wszędzie tam, gdzie państwo nie potrafi lub nie chce zapewnić bezosobowego egzekwowania prawa. Kiedy dostęp do kluczowych zasobów – ziemi, energii, koncesji czy kredytu – zależy od decyzji politycznej, a nie od rynkowej procedury, przedsiębiorczość w racjonalny sposób przesuwa swój ciężar z innowacji na relacje. Pytanie nie brzmi już: „jak wytworzyć lepszy produkt?", lecz: „jak zmienić regułę?". To jest moment, w którym rynek przestaje być mechanizmem selekcji efektywności, a staje się mechanizmem selekcji bliskości.

W książce Sharmy mechanizm ten określono mianem „paktu z diabłem": państwo, pozbawione zdolności inwestycyjnych, „kupuje" realizację infrastruktury poprzez rozdawnictwo renty; biznes z kolei „kupuje" tę rentę, obiecując inwestycje. Pakt ten ma logikę krótkiego okresu i destrukcyjne skutki długiego. W perspektywie natychmiastowej wszyscy aktorzy mogą ogłosić sukces: infrastruktura powstaje, PKB rośnie, pojawiają się miejsca pracy. Jednak w długim okresie system ten wytwarza głębokie patologie: renegocjacje kontraktów, chroniczne opóźnienia, prywatyzację zysków i uspołecznienie strat. A przede wszystkim – zabija bodźce do innowacji. Skoro zysk pochodzi z renty regulacyjnej, inwestowanie w badania i rozwój staje się po prostu irracjonalne.

To właśnie w tym punkcie analiza zawarta w książce Sharmy uderza w dwa sektory, które w indyjskiej narracji modernizacyjnej uchodzą za symbole sukcesu: IT oraz farmację. Krytyka ta bywa odbierana jako niesprawiedliwa, bo przecież obie branże wygenerowały ogromne przychody i zatrudnienie. Jednak z perspektywy innowacyjnej argument autora jest precyzyjny: sukces nie jest tożsamy z przełomem. Outsourcing usług informatycznych oparty na taniej sile roboczej to nie to samo, co budowa globalnych platform technologicznych; masowa produkcja leków generycznych nie jest równoznaczna z odkrywaniem nowych cząsteczek. W obu przypadkach mamy do czynienia z modelem, który maksymalizuje przychód przy minimalnym ryzyku badawczym – a więc z modelem w pełni racjonalnym w warunkach niepewnej egzekucji prawa i słabej ochrony własności intelektualnej.

Tu jednak należy przeprowadzić pogłębioną polemikę, by nie popaść w technokratyczny dogmatyzm. Nie jest bowiem tak, że innowacja zawsze i wszędzie zaczyna się od żelaznej ochrony własności intelektualnej i gigantycznych nakładów na B+R. Historia rozwoju gospodarczego uczy, że fazy imitacyjne są często koniecznym etapem akumulacji kompetencji. Problem Indii – i tu zgadzam się z autorem źródła – nie polega na tym, że imitacja miała miejsce. Polega na tym, że

system nie wytworzył mechanizmu przejścia od imitacji do innowacji. Innymi słowy: jugaad nie jest grzechem pierwotnym; grzechem jest jego instytucjonalne uwiecznienie.

Dlaczego zatem to przejście nie następuje? Odpowiedź prowadzi nas z powrotem do wydolności państwa. Innowacja wymaga nie tylko kapitału i talentu, lecz także sądów zdolnych rozstrzygać spory technologiczne, regulatorów potrafiących egzekwować standardy, sprawnych urzędów patentowych oraz systemu finansowego gotowego ponosić ryzyko porażki. Jeżeli te elementy są przeciążone, opóźnione lub podatne na uznaniowość, innowacja staje się l

Skok proceduralny vs. pułapka wiecznego remontu

Gdy elity biznesowe próbują dziś odgadnąć przyszłość Indii, na horyzoncie majaczą dwie skrajne wizje. Nie są to jednak fantazje, lecz chłodne, logiczne konsekwencje struktur, które napędzają ten kraj.

Pierwszy scenariusz, nazwijmy go „skokiem proceduralnym", zakłada, że Indie wreszcie ujarzmią swoją energię. Impet demograficzny i inwestycyjny zostanie skierowany na przebudowę aparatu państwowego w stronę bezosobowej efektywności. Oznacza to nie tylko kolejne autostrady i porty, ale przede wszystkim szeroko zakrojone inwestycje w wydolność instytucji: sądów, urzędów patentowych czy administracji miejskiej. W takim świecie jugaad, czyli sztuka prowizorycznych rozwiązań, traci sens, gdyż standardy zaczynają być egzekwowane. Kapitalizm kolesiowski przestaje się opłacać, gdy rentę z układów zastępuje realna konkurencja. Innowacja staje się wyborem racjonalnym, a nie heroicznym aktem desperacji. Panaceum w postaci aktywności zawodowej kobiet wreszcie przynosi rezultaty, ponieważ rynek oferuje formalne i bezpieczne zatrudnienie. Hałas budowy cichnie – nie dlatego, że ruch ustał, lecz dlatego, że został wreszcie ujęty w ramy instytucjonalne.

Drugi scenariusz to „wieczny remont". Indie pozostają w nim krajem nieustannej mobilizacji, która nigdy nie doczekuje się proceduralnego domknięcia. Infrastruktura pęcznieje, lecz instytucje wciąż są przeciążone. Demografia napędza wzrost, ale równocześnie podsyca frustrację. Aktywność zawodowa kobiet rośnie w statystykach, lecz nie przekłada się na jakościową zmianę ich sytuacji. Jugaad zręcznie adaptuje się do nowych przepisów, a kapitalizm kolesiowski po prostu zmienia formy, zachowując swoją pasożytniczą funkcję. W tym świecie hałas budowy nie jest etapem przejściowym, lecz permanentnym tłem egzystencji. Gospodarka „idzie do przodu", ale nigdy nie dochodzi do celu, ponieważ każdy krok tworzy nowe wąskie gardło, które natychmiast staje się źródłem kolejnej renty dla beneficjentów układów.

Warto przy tym zauważyć, że oba scenariusze wcale się nie wykluczają. Mogą – i zapewne będą – współistnieć sektorowo, regionalnie, a nawet klasowo. To właśnie owo współistnienie jest dziś najbardziej prawdopodobnym stanem przejściowym. Indie jawią się jako kraj podwójnej nowoczesności, w którym jedne obszary osiągają proceduralną dojrzałość, podczas gdy inne grzęzną w logice wiecznej prowizorki.

Cisza instytucjonalna: ostateczny cel nowoczesności

Na koniec musimy powrócić do metafory, od której wszystko się zaczęło, by rozbroić ją raz na zawsze. Hałas budowy nie świadczy o zdrowiu systemu. Świadczy jedynie o tym, że system jeszcze nie umarł. A to, jak wiemy, zasadnicza różnica. Prawdziwe zdrowie poznaje się nie po decybelach, lecz po zdolności do samoregulacji, po cichej reprodukcji reguł, która nie wymaga nieustannych, nadzwyczajnych interwencji. Ta instytucjonalna cisza – sprawnych sądów, automatycznych procedur, rynku, na którym nie trzeba krzyczeć, by zostać wysłuchanym – stanowi najwyższe stadium nowoczesności. Nie jest spektakularna. Jest, owszem, nudna. I właśnie dlatego okazuje się tak politycznie kłopotliwa.

Cały ten materiał, który tu zrekonstruowałem i poddałem krytycznej obronie, jest w istocie wezwaniem do odwagi. Nie jest to jednak odwaga romantyczna, lecz proceduralna – znacznie rzadsza i mniej efektowna. To odwaga, by powiedzieć społeczeństwu, że nowoczesność boli nie z powodu okrucieństwa rynku, lecz z powodu rezygnacji z arbitralnej, państwowej opieki. To odwaga, by powiedzieć biznesowi, że innowacja nie będzie dotowana z łaski urzędnika. I wreszcie, to odwaga, by powiedzieć państwu, że jego rolą nie jest wybieranie zwycięzców, lecz projektowanie pola gry, na którym zwycięstwo w ogóle ma sens.

Jeśli Indie mają przestać być, jak pisze Sharma, „rozsypującym się autobusem trzymanym na gumki recepturki i nadzieję", muszą wymienić nie tylko silnik, ale przede wszystkim układ kierowniczy swoich instytucji. W przeciwnym razie autobus będzie pędził dalej – głośno, chaotycznie, z zewnątrz nawet imponująco – aż do chwili, gdy jego prędkość przerośnie zdolność do wykonania skrętu. Wtedy hałas budowy ostatecznie ucichnie. Zastąpi go dźwięk uderzenia.

Mihir S. Sharma, „Restart: The Last Chance for the Indian Economy"

> Czy Indie, balansując na granicy proceduralnego skoku i wiecznego remontu, zdołają przełamać zaklęty krąg prowizorki? A może hałas budowy, zagłuszając cichą melodię instytucjonalnej sprawności, na zawsze pozostanie symbolem niespełnionego

> potencjału? Dopóki priorytetem będzie unikanie odpowiedzialności zamiast tworzenia wartości, dźwięk uderzenia będzie nieustannie wisiał w powietrzu.

Inspiracje

[1] **"Restart. The last chance for the Indian economy"** Mihir S. Sharma

2015 | Random House, India

Indyjski ekonomista i analityk polityczny. Dyrektor Centrum Programu Gospodarki i Wzrostu w Fundacji Badań Obserwatora. Felietonista Bloomberg Opinion. Autor książki „Restart: The Last Chance for the Indian Economy". Specjalizuje się w indyjskiej polityce gospodarczej i reformach rynkowych.

Indian economist and policy analyst. Director of the Centre for Economy and Growth Programme at the Observer Research Foundation. Bloomberg Opinion columnist. Author of 'Restart: The Last Chance for the Indian Economy'. Expertise in Indian economic policy and market-oriented reforms.

Observer Research Foundation

Treść tworzy Fundacja Dobre Państwo.
Redaguje i publikuje APA ONE, autorski system redakcyjny Fundacji oparty na AI.
APA ONE Publishing System
Fundacja Dobre Państwo © 2026
Article ID: 44771f35-e3f6-4606-8164-7cf19bddf1ae